

KRAKOWSKIE SEMINARIUM HISTORYKÓW FILOZOFII POLSKIEJ¹

Nigdy nie pisałem sprawozdań i wątpię, czy to potrafię? Postanowiłem więc napisać coś bardziej osobistego, rodzaj wspomnienia. Nie robiłem notatek, pamięć jest wybiórcza, wrażenia się zacierają; spróbowałem jednak jej zaufać i przyjąć, że to, co w niej zostało, warte było przechowania.

Obrady otworzyła p. Dziekan Wydziału Filozoficznego UJ, prof. Maria Flis i po wstępnym uroczystym powitaniu poruszała sprawę niezwykle ważną. Stwierdziła mianowicie, że nasilają się pogłoski, iż Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego planuje zmianę zasad punktacji publikacji naukowych w ten sposób, że publikacje w języku angielskim będą oceniane zdecydowanie wyżej, co – oczywiście – wpłynęłoby na podział funduszy i finansowanie głównie tych nauk, w których przejście na język angielski jest najłatwiejsze: ścisłych, politechnicznych i medycznych. Byłby to przejaw koniunkturalizmu i serwilizmu wobec narastającej tendencji globalnej, czyli amerykanizacji nauki. Byłby to serwilizm niespotykany nawet wśród tych elit naukowych PRL-u, które godziły się na geopolityczne podporządkowanie Polski Rosji; nawet najbardziej gorliwi „sowietofile” nie ośmieliliby się chyba postulować, aby prace naukowe pisane po rosyjsku były wyżej punktowane niż pisane po polsku.

Trudno wręcz oszacować szkody, jakie mogłoby to wyrządzić kulturze polskiej, polskiej humanistyce, a zwłaszcza historii rodzimej filozofii. Trudno wszak oczekiwać, aby większość prac o filozofii polskiej była pisana po angielsku. Krótko mówiąc, humanistyczna gałąź naszej nauki, niżej punktowana i gorzej finansowana, zaczęłaby stopniowo usychać. Byłby to również przejaw krótkowzroczności charakterystycznej dla myślenia technokratycznego, wyżej stawiającego nauki ścisłe i przyrodoznawstwo, których odkrycia mają szybkie i „namacalne” przełożenie na sferę praktyczną; i lekceważącego humanistykę, nie mogącą wylegitymować się takimi pożytkami. Można, oczywiście, argumentować, że rosyjski był językiem państwa próbującego podporządkować sobie polski żywioł, język angielski jest zaś politycznie neutralny, jest rodzajem jednoczącej naukowców – w średniowieczu i we wczesnej nowożytności – łaciny. Byłoby to jednak uproszczenie, łacina nie była wówczas językiem narodowym żadnego mocarstwa; był to język uniwersalny. Angielski zaś towarzyszy partykularnym interesom politycznym oraz ekspansji ekonomicznej i kulturowej konkretnego – jak na razie globalnie zwycięskiego – państwa i dominującej w nim etniczności (anglosaskiej). Nie idzie w tym przypadku o „antyamerykanizm”, ale o ostrożność i krytycyzm.

Następie gospodarz seminarium prof. Jan Skoczyński wygłosił „słowo wprowadzające”. Podkreślił, że jego temat ma pewien związek z najnowszą historią Polski. Jest bowiem tak, że różne klęski i katastrofy w naszej historii błyskawicznie obrastały mitami, które miały je tłumaczyć, objaśniać, usprawiedliwiać, a nawet nadawać im sens wzniosły, metafizyczny i religijny. Taką najnowszą katastrofą, mogącą obrodzić mitotwórczo, jest katastrofa smoleńska. Ten doraźny kontekst, uwzględniony w zaproszeniu do udziału w konferencji, nie spotkał się – mimo obaw organizatorów – z protestami zaproszonych uczestników. Skoczyński spuentował ten wątek ostrożną i – jak się mówiło w dawnej Rzeczypospolitej – „polityczną” formułą: „Katastrofa ta nie była nikomu potrzebna”.

¹ V Seminarium Historyków Filozofii Polskiej, *Mit, historia, kultura*, Kraków, 22–23 września 2011.

Wrócił też pamięcią do pierwszego seminarium, które odbyło się w Warszawie w 2006, i przyznał, że trudno mu było wówczas sobie wyobrazić, że obrodzi ono tak pięknie, czyli przerodzi się w trwałą inicjatywę. Podkreślił dobrą kondycję namysłu nad historią polskiej filozofii; ukazują się bowiem wciąż nowe i treściowo bogate książki (wymienił bodaj dwie pozycje, z których zapamiętałem książkę Andrzeja Wawrzynowicza o Cieszkowskim).

Kolejny referat to wystąpienie prof. Stanisława Pieroga. Dzięki spokojnemu i klarownemu wykładowi nareszcie zrozumiałem, na czym polega istota „filozofii pracy” Stanisława Brzozowskiego, a w szczególności pomysł połączenia Marksa z Kantem. Otóż było to przeniesienie na skalę społeczną (na skalę ludzkości), epistemologicznego schematu Kantowskiego. Podmiot transcendentálny rzeźbi w bezkształtnym materiale wrażliwym świat obrazowy, fenomenalny. Klasa robotnicza okazuje się być takim zbiorowym podmiotem transcendentálnym, który, poprzez pracę, rzeźbi z bezkształtnego materiału natury – świat człowieka, świat ludzkiej kultury. Powołaniem klasy robotniczej nie jest więc, wbrew Marksowi, rewolucja i wyzwolenie ludzkości, a stała obrona ludzkości przed napierającym bezkształtem natury. Niepoznawalny Kantowski świat noumenów zamienia się – w wizji Brzozowskiego – w naturę, która może być poznana tylko po jej przetworzeniu, uczłowiczeniu. Natura czysta, sama w sobie, niektnięta ludzką ręką jest całkowicie obca człowiekowi i – jak noumen – niepoznawalna, niepojęta.

Wystąpienie, które zapadło mi w pamięć, to krótka opowieść prof. Stanisława Borzyna o światopoglądzie Kucharzewskiego. Autor *Od białego do czerwonego caratu* traktował Rosję jako imperium kolonialne, a Związek Radziecki jako sukcesora, czyli że bolszewizm nie był tylko materializacją marksizmu, ale przede wszystkim kontynuacją rosyjskiego despotyzmu. Zważmy jednak, że kolonializm państw zachodnich był nie tylko podbojem, ale też rozprzestrzenianiem kultury europejskiej. I przez wiele wieków ludy podbite odczuwały nie tylko techniczną, ale i kulturową wyższość podbijających. Kiedy Rosja zagarnęła wielkie obszary Rzeczypospolitej, sytuacja wyglądała inaczej; w tym przypadku Wschód skolonizował Zachód. Podbijani, ujarzmiani, zniewaleni odczuwali swą „rzucającą się w oczy” wyższość wobec podbijających. To jeden z ważnych kluczy do zrozumienia polskiej mentalności w XIX oraz w XX wieku; łącznie z występującymi obecnie przejawami mentalności postkolonialnej.

Z kolei ks. prof. Krzysztof Bochenek omówił koncepcję filozofii dziejów Konstantego Michalskiego i w ten sposób zainicjował ważny wątek seminarium. Postać księdza Michalskiego – przedstawiciela przedwojennego tomizmu łowańskiego, zwolennika poszukiwania prawdy „całą duszą”, ale też „duszą otwartą” – pojawiła się bowiem również w innych referatach (a przecież nie był to „temat zadany”). Co ciekawe, mówiono nie tyle o jego poglądach związanych z historią filozofii średniowiecznej, czyli z jego główną specjalnością, ile o – pojawiającym się w późniejszym okresie jego twórczości – filozoficznym namyśle nad historią, który to namysł oparł się próbie czasu i nadal inspiruje.

Po obiedzie uczestnicy kontynuowali obrady w sekcjach tematycznych. Miłym zaskoczeniem był dla mnie nie tylko wysoki poziom referatów, ale też „swojskość” Instytutu Filozofii przy ulicy Grodzkiej. Grube mury starego budynku przypominały mi mury rodzimego Instytutu Filozofii przy Krakowskim Przedmieściu w Warszawie. Wzruszyło mnie też nienowoczesne, „nieplastikowe” wyposażenie sal, stare stoły

i krzesła, na których przesiadywały pokolenia studentów, a przede wszystkim kreda i tablice zamiast multimedialnych wyświetlaczy. Otoczenie takie – mam wrażenie – sprzyja żywej myśli, żywemu słowu i spontanicznej dyskusji; które są, niestety, coraz częściej wypierane przez schematyczne, obrazkowe prezentacje.

Na uroczystej kolacji – zgodnie z szacowną tradycją uniwersytecką przestrzegającą hierarchii – wyodrębniła się grupa profesorska oraz grupa doktorska (dwa stoły), między którymi, wspierając się na kulach, mediował prof. Skoczyński. Grupa profesorska – po zakończeniu kolacji – udała się w swoją (nieznaną mi) stronę, natomiast część grupy „młodszych” (średnia wieku 50 lat), udała się na dalsze obrady do... słynnej Piwnicy pod Baranami.

Z drugiego dnia Seminarium zapadły mi w pamięć dwa wystąpienia. Dr Piotr Bartula przeczytał rodzaj referatu-poematu o „dwóch pamięciach” – pamięci martyrologicznej (skierowanej w przeszłość i skupionej na klęskach) o wielkim mistycznym pochodzie przodków – trupów skrzywdzonych i poniżonych (referent wymienił głównie „przystanki” tej pamięci, począwszy od dzieci Głogowa, przypiętych do niemieckich machin obłężniczych); oraz o pamięci budującej, optymistycznej, skierowanej w przyszłość. Nie tylko byliśmy ofiarami, nie tylko przegrywaliśmy, ale też wygraliśmy (tutaj przypomniał barwny przegląd zwycięstw). Najbardziej jednak poruszyła mnie śmiałość i wyrazistość tego rozróżnienia. Nie pasowało ono bowiem do głównej linii granicznej, do głównego podziału, który dotąd traktowałem jako oczywisty. Podziału – zaznaczającego się w XVII wieku i wyrazistego w XVIII – na dwa obozy, reformatorów i konserwatorów; zwolenników przewietrzania polskiej izby wiatrem z Zachodu i sarmatów zakochanych w swojskości (Dąbrowska pisała w *Dziennikach*, po zamachu na Narutowicza, że są dwie Polski, które różnią się radykalnie, mimo wspólnego języka). Obecne rozróżnienie dwóch pamięci przecinało w poprzek tamten podział. Wszak obóz zachowawczy był nie tylko martyrologiczny (Sienkiewicz, pisanie „ku pokrzepieniu serc”), zaś obóz modernizujący był raczej krytyczny wobec przeszłości; wskazywano na klęski, które traktowano jako wynik błędnego ustroju i wad charakteru narodowego. Referat ten wprowadził zatem pewne zamieszanie w moje stare pojęcia i schematy. Tym bardziej, że był mi bliski przez swoją obrazowość, literackość i niekonwencjonalność.

Wystąpienie drugie to wypowiedź prof. Pieroga na marginesie dwóch referatów. Pierwsza jej część dotyczyła znanego XIX-wiecznego sporu Adama Marburga i Henryka Struvego o sens uprawiania historii filozofii (referat dra Piotra Ziemskiego). Pieróg naszkicował dwa skrajne podejścia do badania historii filozofii, dwa „rozdroża historii filozofii”: tradycję „nominalistyczną”, która ogranicza się do dokładnego referowania zawartości tekstów z przeszłości; jest to, rzec można, „filologia filozoficzna”. Przy takim podejściu pojawia się pytanie, stąd w ogóle wiadomo, że dany tekst należy do dziedziny filozofii, skoro nie wnikamy w jego sens, a jedynie „pływamy po powierzchni”. Podejście przeciwstawne to esencjonalizm, czyli poszukiwanie w tekstach filozoficznych ważnych idei (ich przemian i oddziaływania na siebie) oraz istotnego sensu. Na skraju tego rozdroża należy umieścić wizję Hegla (od Hegla historia filozofii stała się częścią filozofii), że owo poszukiwanie sensu się „jakoś spełni”, „zwieńczy”. Wizja ta okazała się – mówił Pieróg – złudzeniem. Nic dziwnego, Hegel wszak zdawał się wierzyć, że jego głos jest ostatnim istotnym i zarazem wieńczącym głosem w dwu i pół tysiącletniej filozoficznej dyskusji. Druga część tej wypowiedzi dotyczyła referatu dra Marka Rembierza rozróżniającego – za Konstantym Michalskim – wielkie mity

kultury i groźne mity ideologii. Wielkie mity powstawały spontanicznie i organicznie, mity XX wieku były zaś konstrukcjami sztucznymi i stanowiły składniki ideologii. Pieróg zauważył, że „ojcowie założyciele nowożytności” – Galileusz, Bacon, Kartezjusz – stworzyli coś, co można określić jako „ideologię nowoczesności”. To Bacon w swoich tekstach akcentował „nowość” (*Nowa Atlantyda, Novum Organum*). Niezwykle ważnym składnikiem tej ideologii – scalającym ją i napędzającym – stał się progresywidm, idea postępu. Ideologia postępu stała się zatem istotnym składnikiem szerszej ideologii nowoczesności, która silnie oddziaływała w oświeceniu a następnie w pozytywizmie. Na początku XX wieku – w związku z „buntem mas”, z ich wyzwoleniem spod kierownictwa elit – postęp stał się składnikiem masowego światopoglądu; innymi słowy, nowej wiary ludu, nowej religii mas, której stał się główną świętością. W ten sposób postęp przestał być ideologią i zamienił się w mit (mit bowiem to tkwienie w przeświadczeniu bez krytycznego namysłu). Mit ten – w powiązaniu z mitem państwa (Pieróg nawiązał do książki Cassirera pod tym tytułem) – przyczynił się z kolei do popularności wśród mas ideologii totalitarnych.

Jako uczestnik-debiutant seminarium starałem raczej się uczyć niż nauczać; jak najmniej mówić, a jak najwięcej słuchać i patrzeć. I cóż zobaczyłem? Środowisko historyków filozofii polskiej ma pewne dominujące cechy. To zwykle patrioci (aczkolwiek nie szowiniści) odnoszący się z szacunkiem do narodowej tradycji intelektualnej. Szacunek ten ma swoje przedłużenie w życzliwym – rzec można adwokackim, a nie podejrzliwym, prokuratorским – podejściu do poglądów prezentowanych filozofów. Współgra to też z inną ważną orientacją myślową; nie są to „nowinkarze” próbujący przyłączyć się do najnowszego, najbardziej modnego filozoficznego „izmu”. Obcy im jest przeto pryzmat awangardowy i naiwna wiara, że to, co „nowsze” (w filozofii) równa się „lepsze”². Stąd też być może duża liczba oryginałów, indywidualistów; albowiem – zaryzykujemy osąd – nowinkarze „przyklejający się” do modnych nurtów, to często płatki, które chętnie pływają w ławicach.

Seminarium krakowskie było pod jeszcze jednym względem odwrotnością różnych konferencji filozoficznych, na których królował postmodernizm, neopsychoanaliza i *gender studies*; większość uczestników stanowiły tam młode (często egzaltowane oraz radykalne) kobiety; na tej zaś przeważali starsi, ostrożni w sądach mężczyźni. Czyli – pozwolę sobie na „seksistowską uwagę” – było mniej do patrzenia, ale więcej do słuchania i namysłu.

JACEK BRE CZKO
(Białystok)

² Cieszyło mnie to harmonijne połączenie: anty-nowinkarze obradujący przy jednej z najstarszych ulic Krakowa. Nawiasem mówiąc, w miastach posiadających starą zabudowę, myślenie konserwatywne, zachowawcze ma oparcie w przestrzeni architektonicznej, która jest swoistą ludzką rzeźbą. Patrząc na takie dzieło, nie tylko nim „nasiąkamy”, ale też siłą rzeczy pojawia się pamięć, poczucie ciągłości i wdzięczności, dla tych, którzy to zbudowali i w tym żyli (Norwidowi podobno w Ameryce brakowało „starych kamieni”). Ludzie wyrastający w prefabrykowanym otoczeniu, przejmują jego cechy i chętniej gonią za nowinkami i łatwym zadowoleniem. Jest to sprzeczne z „duchem filozofii”, albowiem postęp w filozofii jest wątpliwy i – jak mówił Wittgenstein – w filozofii nie należy się śpieszyć.